ROK II. Nr. 41 (90) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 12 października 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Z PĘDEM JESIENNEGO WICHRU...

W NINIEJSZYM NUMERZE ZAMIESZCZAMY WYWIAD Z PITIGRILLIM





Przegląd awjonetek stających do III-go Kr. Konkursu i start.

JERZY LEWESTAM.

III Krajowy Konkurs Awjonetek L. O. P. P.

Epoka nowoczesna zaczęła się pod hasłem wyścigu. Znano wprawdzie boks, tennis, football, ale sporty te emocjonowały tylko połowicznie. Wyścigi konne były czemś „epatującem" każdego. Lecz niestety zatriumfował samochód. Samolot był odskocznią pojęć sportowych ludzkości w całkiem nowe strefy.

Polska dotychczas wykazywała mniejsze zainteresowanie powietrzem niż zagranicą. Lecz powoli sprawa „latania" zaczęła czynić się atraktywną i u nas.

*

Dn. 24 września lotnisko cywilne w Mokotowie zaroiło się od publiczności.

Długim rzędem stały awjonetki biorące udział w III K. K. A. Ślicznie wyglądał ten sznur małych samolocików sportowych. Od malutkiego „kogutka" inż. Zaleskiego ważącego zaledwie 138 klg. do przeszło 400 kilogramowych RWD., Program konkursu następujący:

Dn. 26 września próba krótkości startu i lot na wysokość;

Dnia 28 września próba szybkości w obwodzie zamkniętym;

Dn. 30 września do 5 października lot okrężny na około Polski .

Dn. 6 października próba demontażu awjonetek.

Próba krótkości startu i lot na wysokość: Pogoda piękna. Na lotnisko tłumy publiczności w odstępach 5 minutowych wzbijają się w górę awjonetki.

Niektóre awjonetki jednak z powodu zbyt wielkiej wagi niedopuszczono do konkursu. Start. Warknęły silniki. Awjonetki odrywają się od ziemi. Zwycięzcą dnia jest kpt. Iżycki 110 m., który o 10 m. bije kpt. Orlińskiego.

*

Próba szybkości polega na pięciokrotnem okrążeniu lotniska na trasie Warszawa — Raszyn — Piaseczno — Warszawa.. Łącznie około 180 km. Dotychczas odpadły 2 awjonetki sierż. Działowski D. K. D. V za zbyt wielką wagę (472 kg., dopuszczalna 140 kg.): nieprzedstawienie dokumentów rejestracyjnych, oraz kpt. Babiński na „kogutku" za nieosiągnięcie przepisanego „pułapu" 1.500 m. Awjonetki startują w 2-u minutowych odstępach. Na lotnisku morze głów. Żadna z dotychczasowych imprez nie cieszyła się takim powodzeniem.

Najszybciej obleciał trasę pilot Sołtykowski na RWD 4 1 godz. 0.6 m. po nim por. Żwirko i pil. Sido 1 godz. 13 min. (D. C. N.).



3-dniowy raid automobilowy pań zakończył się w dniu 1 paźdź. uroczystem rozdaniem nagród w lokalu Automobilklubu w Warszawie. Na zdjęciu grupa uczestniczek raidu z nagrodami. Siedzą od lewej pp.: Toepferowa, K. Zajączkowska - Meissnerowa, Marja Koźmianowa (I-sza nagroda na Austro Daimlerze), M. Baczewska (III nagroda na Citroen), Podhorodeńska, Pomcrowa Skarbek -Tłuchowska, Stałowska (II nagroda na „Pradze") napodłodze siedzi Jan Ripper.

Co słychać na świecie



Brat Cesarza Japońskiego ks. Takamatsu z małżonką gości incognito w Warszawie. Fotografja dostojnej pary dokonana została w stroju uroczystym podczas koronacji cesarza Hirohito.





Ogłoszenie zaręczyn Króla Borysa Bułgarskiego z W. Ks. Giovanną Italską wywołało powszechny entuzjazm w obu krajach, a zwłaszcza w Bułgarji, jakoże popularny monarcha był uważany za zdecydowanego starego kawalera.



W Paryżu otwarto 24-y salon automobilowy.



Straszny wypadek, któremu uległ angielski sterowiec R. 101, a który do głębi wstrząsnął całym światem, jest największą dotychczas katastrofą lotniczą.



Akademja italska wybrała na miejsce dotychczasowego prezesa, amb. Tittoniego słynnego uczonego, senatora Marconi'ego, będącego jednocześnie członkiem Wielkiej Rady Faszystów.

JAN PIOTROWSKI.

Wieczna młodość

„Starość — nie radość" — powiada znane przysłowie. Nic też dziwnego, że nasz Jan z Czarnolasu tak do niej przemawiał:

Biedna starości! Wszyscy cię żądamy,
A jako przyjdziesz, to zaś narzekamy...

„Piekłem kobiet" nazwał starość La Rochefoucauld. Zapewniał ironicznie, że „starcy dlatego znajdują pociechę w udzielaniu dobrych rad, bo... nie mogą już dawać złych przykładów". Anatol France, który, nawiasem mówiąc, już w mocno zgrzybiałym wieku, poślubił młodą dziewczynę, buntował się przeciw przywilejom młodości i marzył, że gdyby był Stwórcą, uczyniłby mężczyzn i kobiety zgoła nie na podobieństwo wielkich małp, ale raczej na podobieństwo owadów, które najpierw są gąsienicami, potem przedzierzgają się w motyle, wreszcie u schyłku swego żywota troszczą się tylko o to, aby kochać i być pięknemi. „Młodości — wołał — dałbym miejsce u kresu żywota ludzkiego..."

Cóż jednak dziwić się France'om i La Rochetoucauld'om, jeśli nawet współczesny nam Boy-Żeleński żałośliwie pojękuje na ten smętny temat:

Gdy się człowiek robi starszy,
Wszystko w nim potrochu parszy —
wieje;
Ceni sobie spokój miły
I czeka, aż całkiem wyły —
sieje...

Powszechny, że tak wyrazimy się, „fizyczny" szacunek dla siwych włosów nie jest jedyną osłodą starości. Ma ona również inne dobre strony. Fontenelle np., jedna z najciekawszych postaci schyłku monarchji francuskiej, mawiał: „Za najszczęśliwszy okres mego życia uważam lata po sześćdziesiątce. W tym wieku posiada się określone stanowisko, wyzbyło się już zdobywczych pragnień i ambicyj — cieszy się wówczas człowiek tem, co zasiał".

Nie zawsze jednak starość ogranicza się do spoczynku na laurach. Wielu starców do najpóźniejszego wieku zachowuje zadziwiającą rzeźkość i świeżość nietylko umysłową, ale i fizyczną. Oto naprzykład, świetny komedjopisarz francuski, de Flers, na kilka lat przed śmiercią uskarżał się, że nie rozumie swego syna, który wydaje mu się... starszym od ojca. A wielki G. B. S. — Bernard Shaw? Mimo 74-ech lat życia nie porzuca swego ciętego pióra, uprawia namiętnie tennis, sport pływacki i... tańce współczesne. Półtora roku temu, znajdując się w łodzi, pośrodku wielkiego jeziora Como, skoczył do wody i po godzinie dopłynął do dalekiego brzegu. Zapalonym sportowcem jest również najstarszy z monarchów europejskich, Gustaw V szwedzki, jedna z pierwszych „rakiet" swego kraju. Żywym wzorem energji, pracowitości i zdrowia jest 83-letni Edison i 90-letni „król naftowy", Rockfeller. A przesławny „Tygrys Francji" Jerzy Clemenceau? Jeszcze na rok przed swą śmiercią, już jako starzec 80-letni uważał się za przedwcześnie postarzałego i wybierał się w podróż naokoło świata, aby się odświeżyć, ożenić i, jak sam uroczyście zapewniał, doczekać się... potomstwa. „Im bardziej człowiek się starzeje — mawiał — tem więcej kocha życie, nabierając przekonania, że jest ono piękne i warte kochania..." Zdumiewającą rzeźkością ciała i umysłu cieszy się również wielki patrjota czeski, prezydent Massaryk, który niedawno obchodził 80-tą rocznicz swych urodzin, a do dziś dnia dosiada konia i używa na nim codziennej przejażdżki.



Najstarsza artystka Komedji Francuskiej, Cecile Sorei, licząca sobie coś koło 70-ciu lat chętnie grywa role podlotków.

Pomówmy jednak o poetach, oni bowiem, choć im nawet śnieg zapalone głowy przyprószy, nigdy prawie nie wyrzekają się służenia łaskawej Pani Afrodycie. Oto naprzykład wiernym jej sługą był stary Kochanowski, który takiemi czułemi i sprytnemi słowy zabiegał o wzajemność pięknej dziewczyny:

Nie uciekaj przedemną, dziewko urodziwa!
Z twoją twarzą rumianą moja broda siwa
Zgodzi się znamienicie: patrz, gdy wieniec
wiją,
Że pospolicie sadzą przy róży leliją...

Ale, chociaż sam uczuwał w późnym wieku „ciągotki" do przedstawicielek płci odmiennej, nie miał wyrozumiałości dla amatorów leciwych białych głów, które tak jadowicie wydrwiwał:

Terazbyś ze mną zigrywać się chciała,
Kiedyś, niebogo, sobie podstarzała!
Daj pokój, prze Bóg, sama baczysz snadnie,
Że nic po cierniu kiedy róża spadnie...

Kochał się w późnym wieku Szekspir, kochał się i współczesny Kochanowskiemu Ronsard. Również, jeśli nie na zimę, to na jesień żywota przypadła miłość Petrarki do Laury. Jednak rekord późnej i długotrwałej miłości zdobył bezsprzecznie sekretarz pięknej królowej Małgorzaty, pierwszej żony Henryka IV, Maynard. Przez całe życie kochał się w jednej tylko kobiecie — i miłości tej pozostał wierny aż do grobu, tak ją opiewając:

Nie od dzisiaj niewoli twej noszę okowę —
Czterdzieści lat me serce nie koi się blizną,
Bo miłowałem wiernie twoją piękną głowę
Pod kruczemi kędziory i srebrną siwizną...

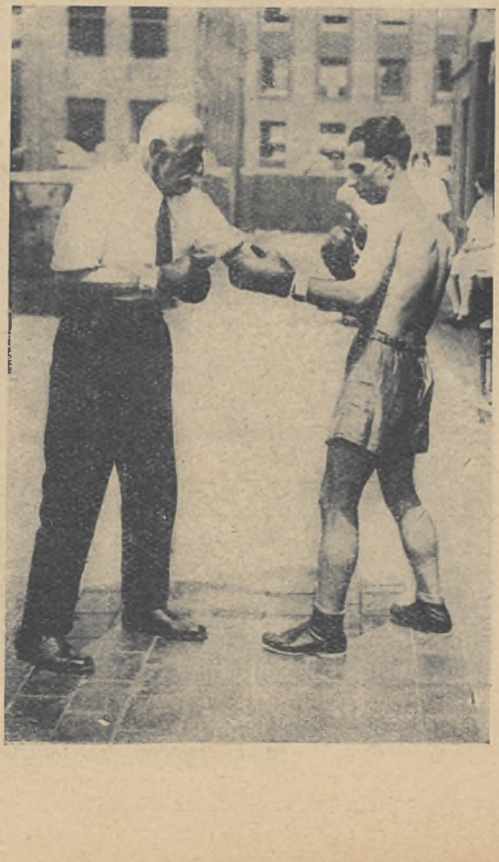
Napróżno powtarzali sobie podtatusiali synowie Appolina gorzkie przestrogi starego Boccacia: „Czy zastanowiłeś się nad tem, że kobiety pragną do turniejów miłosnych mężczyzn młodych, a nie takich, którzy do starości się zbliżają?" Jeden Asnyk oparł się pokusie i, nagabywany przez zalotną panią Grudzińską, kropnął jej taką wierszowaną rekuzę:

...Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dzieweczko,
Zażądać serca ofiary;
Więc bawię tylko piosneczką,
Bom już za stary...

A liczył wtedy Asnyk nie 80, nie 60 i nawet nie 40 — bo tylko... 32 lata, czyli równo o połowę mniej od wieku, w którym Goethe zdobył wzajemność pięknej Marjanny Willemer. Dał się nasz skromny Asnyk wyprzedzić nawet kobietom, bo niemal trzykrotnie od niego starsza „pierwsza feministka francuska", Ninon de Lenclos, najspokojniej na świecie łamała jedno męskie serce po drugiem, a niewiele od niej młodsza słynna „madame Zayontschek" do późnego wieku nie przestawała robić scen zazdrości dorodnemu i młodemu Grzymale...







Księżna d'Uzes, mimo 84 lat bierze udział w tradycyjnem polowaniu w dniu św. Huberta (w środku) 156-letni Zaro Agha miast kuracji Woronowa stosuje trening bokserski (na prawo). Książę Ludwik Ferdynand de Bourbon wstąpił w związki małżeńskie z 73-letnią księżną Marją Konstancją de Broglie. Szczęść Boże „młodej" parze (na lewo).

W ich ślady wstąpiła przed kilkunastu laty nie żyjąca już dziś, znakomita tragiczka francuska, „boska" Sara Bernhard, która po siedemdziesiątce poślubiła dwudziestoparuletniego Cherubina ze swej trupy. A pani Zubkow, rozmiłowana w rosyjskim „niebieskim ptaku"? A nieśmiertelna Mistinguet. A Cecile Sorel z Komedji Francuskiej, która dziś jeszcze chętnie występowałaby w roli podlotków? A 73-letnia księżna de Broglie, która świeżo stanęła na ślubnym kobiercu z 40-letnim infantem Hiszpanji? (co za „infantylizm"!)

I w naszym kraju nie brak pań, które szczerzą sztuczne ząbki na jabłko Parysa i na swych aktach urodzenia ćwiczą się w trudnej sztuce odejmowania, ba! nawet i... dzielenia...

I... i mają rację! Do djabła! Niema dziś starców i staruszek — są tylko młodzieńcy i młode panie... w pewnym wieku. Niema też starców-samolubów, starców-skąpców i starców-nudziarzy — ale są młodzi egoiści, skąpcy i nudziarze, którzy się zestarzeli...

Jak trafnie zauważył Diderot: „Voltaire w sześćdziesiątym roku jest papuga Voltaire'a z trzydziestego roku jego życia..." To też eliksir wiecznej młodości jest dostępny dla wszystkich, ale tylko w latach młodości. Kto pamiętał o tem aby w wiośnie i lecie życia napełnić swe serce tym eliksirem, starość stanie się dla niego jakby drugą młodością. I, kiedy śnieg włosy mu przyprószy, śmiało będzie mógł powtórzyć za Montaigne'm:

„Niechaj mnie lata porywają, jeśli wola, ale wstecz! O ile oczy moje mogą rozpoznać tę piękną porę wygasłą, zwracam je ciągle w tę stronę; jeżeli ona znika z mej krwi i moich żył, przynajmniej niech jej obraz będzie przytomny mej pamięci...".

TROCHĘ STATYSTYKI PROHIBICYJNEJ

W roku 1916 konsumowano w stanie Washington 1.600.000 gallonów whisky i win, 7.200.000 gallonów piwa za ogólną sumę 20 miljonów dolarów.

W obecnej chwili niewiele się zmieniło, gdyż 3.500 tajnych kupców winnych (bootleggers) dostarcza alkoholu w każdej ilości, a w jednym New Yorku prosperuje 650 tajnych szynków (speak easies).

W ciągu 6 lat, poprzedzających wejście w życie ustawy o prohibicji, aresztowano 7.414 amatorów alkoholu za zakłócenie spokoju na ulicy.

Liczba ta w ciągu 6 lat ostatnich wzrosła do 12.338.

Wszystkie więzienia są przepełnione.

Miasta amerykańskie, jak Chicago, biją wszelkie rekordy w dziedzinie przestępczości.

W roku 1928 wytoczono 56.455 spraw o naruszenie ustawy o prohibicji, a grzywny, na które skazano antyprohibicjonistów, wyniosły nie mniej 7 miljonów dolarów. Skonfiskowano 7.299 samochodów i 89 okrętów za uprawianie nielegalnych transportów.

Senator Bruce żąda kredytu 270 miljonów dolarów dla prowadzenia walki o prohibicję, dla której zorganizowano specjalną administrację, liczącą 4.664 urzędników, nie mówiąc o tych znacznych siłach policyjnych, powoływanych ustawicznie do operacji, dokonywanych nawet *manu militari* i przy użyciu wszelkiej broni, poczynając od czołgów, a kończąc na gazach.

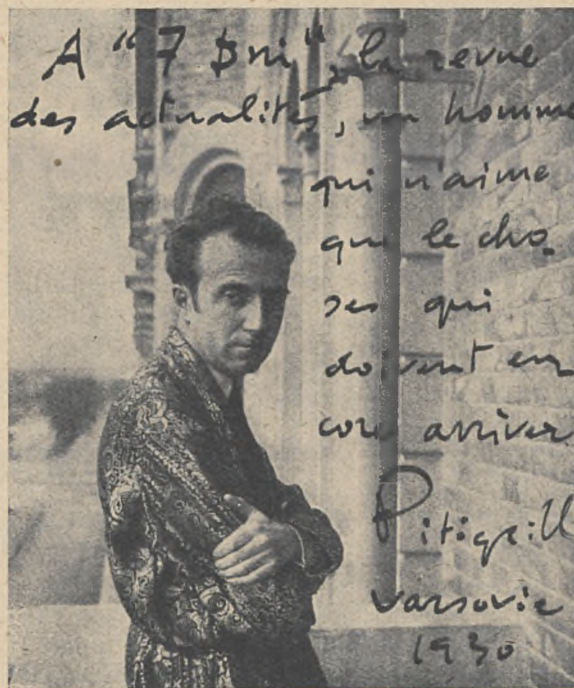
A antyprohibicjoniści są niewyczerpani w pomysłach. Oto specjaliści włoscy, nie mówiąc o szeregu obywateli, wyrabiających „samogon", wyrabiają wino z rodzynków, pewien kuchmistrz francuski zasłynął z powodu wynalezienia sposobu fabrykowania szampana z pospolitej rośliny, zwanej brodawnikiem mleczowym, szereg „genjalnych" chemików poświęca się z zapałem oczyszczaniu spirytusu denaturowanego, z którego przemyślne cocktaile — bronxy lub wszelakiego rodzaju mahatanny smakują podobno wcale nieźle.

Ustawa o prohibicji jest doprawdy piękną zdobyczą, godną obywateli z pod gwiaździstego sztandaru!...

Pitigrilli w Warszawie

CO MÓWI AUTOR „LUKSUSOWYCH ZWIERZĄTEK" O MIŁOŚCI I MAŁŻEŃSTWIE.

Bez krzyczącej reklamy przybył do Warszawy jeden z najpopularniejszych powieściopisarzy współczesnych, Pitigrilli. Przyjechał incognito, ot tak, en passant: wskoczył do Polski, korzystając ze swego pobytu w Berlinie, gdzie w tej chwili filmują jego ostatnią powieść „Mężczyzna szuka miłości". Będzie to jego pierwszy film.



„7 Dniom", Przeglądowi Aktualności, — człowiek, kochający rzeczy, mające dopiero nastąpić.
Pitigrilli.

We Włoszech, za sprawą rządu faszystowskiego, popularność Pitigrilli'ego jest sztucznie i bezskutecznie umniejszana. Spowodowane jest to bezwzględnemi wystąpieniami młodego autora przeciw pruderji i fałszywej, względnie źle zrozumianej moralności.

Pitigrilli osiągnął swój rozgłos dzięki sarkazmowi i zgryźliwości w ocenie kobiety. Dlatego też uważałem za ciekawe i za wszechmiar interesujące od tego zacząć rozmowę.

— Nie jest to sarkazm. Wszystkie, napozór ironiczne, powiedzenia o kobiecie wypływają z mojego pesymizmu. Obserwowałem kobiety oddawna i wszystko, co o nich piszę jest rezultatem obserwacyj, a nie rozczarowania, czy zawodu miłosnego, jak to próbowano kiedyś uzasadnić. Patrząc na nagą kobietę, widzę nagą kobietę i nic więcej.

— Czy dlatego się pan nie ożenił?

— O nie. Ale trudno jest ożenić się człowiekowi przyzwyczajonemu do wolności. Zresztą nie ciągnie mnie to. Do 25 roku życia widziałem w kobiecie tylko czar i urok. Teraz stwierdzam, że omyliłem się. Niema w nich nic nadzwyczajnego. Pozatem nie spotkałem w swojem życiu kobiety, któraby była jako żona odpowiednią rekompensatą za zrzeczenie się wolności. Moja wolność byłaby zbyt kosztownym podarunkiem ślubnym.

— A gdyby w grę wchodziła miłość? Jakby pan postępował z kobietą zakochaną w panu, i którąby pan kochał?

— Nie wiem. Dla każdej kobiety potrzebna jest inna metoda. Jedną zdobywa się humorem, inną złośliwością. Prawie każdą pieniędzmi.

— Będę z panem szczery. Nie chcę być kochany przez kobiety. Nie jestem bohaterem swej książki „Mężczyzna szuka miłości". Nie szukam jej, gdyż uważam, że miłość jest mocno deranżującym balastem. Porównałbym ją do związku chemicznego. Są ciała, które się z natury same przez się przyciągają i łączą. Są ciała, których w żaden sposób chemiczny, ani fizyczny połączyć nie można. Tak jak istnieje pokrewieństwo chemiczne,—istnie je również pokrewieństwo miłosne.

— Nad czem pan teraz pracuje?

— Mam na warsztacie dwie prace. Zbiór nowel i powieść. Wszystko o podkładzie miłosnym. Znów rezultaty obserwacji, pozatem mam dużo pracy w związku z wydawaniem swojego pisma „Grandi firme" (wielkie nazwiska). Jest to nieznany prawie typ pisma literackiego. W każdym numerze trochę humoru, trochę aforyzmów i paradoksów o miłości, życiu i polityce oraz 6 nowelek najwybitniejszych powieściopisarzy świata.

— Czy cieszy się pan powodzeniem u kobiet?

— Moje książki tak. Ja nie! Może dlatego, że nie staram się zdobywać ich. Na zdobycie kobiety nigdy nie jest zapóźno. A jeżeli mężczyzna nawet się spóźni, to zawsze jeszcze przyjdzie dość wcześnie, by zdobyć dziesięć innych.

Pitigrilli żywo interesuje się teatrem polskim. Co chwilę niemal zadaje pytania, dotyczące poziomu teatru i rewji. Chciałby dowiedzieć się jak najwięcej o młodej literaturze polskiej, wymienia nawet nazwiska ludzi, o których słyszał zagranicą.

Ja jednak ciągle widzę w nim człowieka, którego przedewszystkiem pociąga dusza kobieca. I dlatego zadaję nagle pytanie:

— A co pan może powiedzieć o kobietach polskich?

— Zewnętrznie... piękne. Pozatem wątpię, żeby miały w czemkolwiek różnić się od swych sióstr z Europy Zachodniej. Kobieta wszędzie i zawsze dąży do jednego celu. Niektóre robią to dyskretnie, inne oficjalnie. I te i tamte nie przebierają w środkach. A mnie interesują właśnie te środki, sposoby podchodzenia do celu, tak samo, jak interesuje mnie sposób reagowania mężczyzn na te zabiegi miłosne. Bo to właśnie jest owym wymarzonym celem. Trudno mi powiedzieć coś bliższego o kobiecie polskiej... ale przypuszczam, że to, co powiedziałem jest bardzo bliskie rzeczywistości.

Na pożegnanie Pitigrilli dorzuca:

— Kobieta jest wszędzie taka sama, taki sam jest wszędzie mężczyzna, taka sama jest wszędzie miłość, wierność i zdrada — tylko sposób wyrafinowania jest zależny od stopnia kultury.

Bronisław Hermelin.

ZYGMUNT KAWECKI

Pani Ela — pies — i ja

(Trialog)

To było tak:

Stoi pani Ela przed wystawą antyseptyczną (bo właśnie miała skaleczony palunio) — no i trzyma na smyczy piesa (psa) — a tu myśli sobie, coby kupić na bolejącego palca.

Naraz pieseczek:

— Rrrrr... rrrrrrr...

Pani Ela szarpnęła pieseczka paseczkiem — i spokój.

Ale na krótko. Bo znowu syn psa i psowej zaczyna:

— Rrrrr! Ham! ham!

Więc pani Ela tłumaczy psu: — Niech pies nie denerwuje pani, bo panią strasznie boli palec u nogi — i trzeba kupić jakieś lekarstwo, a pani sama jeszcze niewie, jakie.

W tem miejscu pies zaczął przychodzić do rozumu, czyli mówiąc po psiemu, zaczął machać ogonem. Ale nie machał do swojej pani, tylko do kogoś, podchodzącego właśnie do wystawy antyseptycznej.

— Że też pies do pana zawsze z czułościami — zauważyła pani Ela, witając się z waszym służką, siedmiodniówkiem feljetonowym.

— Wie pani,—odrzekłem wstydliwie,—że odczuwam w tej chwili, naprawdę! brak ogona. Takbym chciał psu, po psiemu, odkiwać jego sympatję — a tu co... kręgi ogonowe, jak wiadomo, mamy już w stanie szczątkowym. Ale nie o tem mowa, dodałem zażenowany, zmiarkowawszy się, że pani Ela kwestję ogonową zrozumiała jakoś nieantropologicznie — i uśmiechnęła się pod wąsem...

(Pani Ela ma cudne, aksamitne pędzelki, zaglądające jej prawie do kącików ust).

— Otóż, co ja tu chciałem — dodałem po chwili, niby nie mogąc sobie przypomnieć, o czem była mowa.

Ale pani Ela pomogła mi od razu.

— Pan mówił o bezogonowości?

— Ach, proszę pani,—odparłem cokolwiek niecierpliwie,—psi ogon, to temat stojący ponad wszelką aluzją. Czy pani wie, że gdybym był premierem państwa, i przyjmował ludzi na posady do brania pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy, to kazałbym pani piesiowi wszystkich kandydatów obwąchiwać — i uważałbym srogo, co pani piesio o nich *myśli swym ogonem.* Psi ogon — pani Elo, to busola na pełnem morzu życia.

— Ręczę panu, przerywa mi aksamitnowąsa pani Ela — że pies wie, iż to o nim mowa. Niech pan patrzy, jak on słucha — i jak mu się oczy i uszy śmieją.

— Aha! aha! — odkrzyknąłem. — I ogon też mu chichoce ze śmiechu!

— A możebyś tak i na mnie poszczekał dla odmiany — piesku — powiadam — (i wyszczerzając doń garnitur, to jest, chciałem powiędzieć zęby) — robię naumyślnie:

— Rrrrr! Rrrrr! Hau! Hau! (Rzecz się dzieje na ulicy, w Warszawie, więc w tem miejscu już się Warszawianie zbierają wokoło nas).

Ale i pani Ela i ja, gwiżdżemy na tworzącą się przed sklepem masówkę — i wszyscy troje robimy dalej swoje. To znaczy ja szczekam do psa, pani Ela przypatruje się temu serdecznie, a piesio nic. Patrzy, milczy — i macha busolką swej inteligencji.

— Na pana nie szczeknie, mówi pani Ela, tak aby tłum słyszał—i uczestniczył w naszem gaudium życiowem. Ale co ja mam *z innymi* psami!

— To znaczy, podchwyciłem, z innymi psami, niż ja?

—Ach, niech pan nie chwyta za słowa?

— A za co?

W tem miejscu już już zacząłem załapywać od tłumu brawko za dyalog — gdy wtem piesio zaczął szczekać.

— Hau! Hau!! Hauuuu!

— To na tę charcicę — odezwała się pani Ela pospiesznie — i widząc że zaczynamy mieć za wielkie powodzenie — pociągnęła mnie i piesia do sklepu.

Wstąpiliśmy tedy we troje, w takiej kolejności: pies, jego pani, i ja. Zaraz do nas przystał właściciel składu, pan Adamer — człek znany ze spostrzegawczości — i tak — we czworo, zaczęliśmy zrazu o palcu nożnym pani Eli, a potem wogóle o ludziach i psach.

Rozmowa trwała, bez uroku, półtorej godziny — a ekstrakt jej podaję poniżej w następujących aforyzmach:

I. Pies szczeka na psa odrazu, jak tylko go zobaczy. Człowiek na człowieka trochę *później* — a czasem nawet *wcześniej,* — ludzie nigdy zaś nie oszczekają się odrazu, systematycznie i równocześnie.

II. Pies szczeka na psa w cztery oczy (ślepia). Człowiek szczeka na człowieka z ukrycia. (Telefon anonimowy, list anonimowy, krytyka, plotka, insynuacja, a nawet szczekające milczenie).

III. Ludzie z ludźmi coraz mniej mogą wytrzymać. Kto może, przestaje z psami. Biedne psy. I one zczłowieczeją.

MAX WIT.

„WIECZNY BŁĄD"

Słucki nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego się pobrał z Helą. Był wówczas już właścicielem fabryki mydła „Plum", cudownego eliksyru cery, który zdobywał rynek na złość wszelkim rozpowszechnionym markom. Nieoczekiwane powodzenie czyniło go jeszcze bardziej młodym i lekkomyślnym; przynajmniej z całą bezwzględnością pozytywisty oskarżał się o lekkomyślność.

Hela pozowała do patentowanej nalepki na mydła „Plum" — pozowała pod dobrą gwiazdą powodzenia, więc przez wdzięczność została osobistą sekretarką, ale wciąż jednako dumna i nieprzystępna, miała jakieś swoje starożytne zasady, których żadną miarą nie chciała, a może on nie umiał przełamać. Nie potrafił także zdławić silnej namiętności człowieka, któremu życie na złość się udawało, więc zdecydował, że Hela zostanie przystanią jego życia, portem i spokojem po długiej i uciążliwej żegludze z fali na falę.

Dopiero po zaręczynach zgodziła się, po raz pierwszy, zająć miejsce obok niego w nowo kupionej maszynie. Gdy ogarnął głodnemi oczami jej kanarkowy berecik i szafirowy sweterek, doskonale sharmonizowany z pstrym kolorem żółtego auta, stała się milsza, niż kiedykolwiek. Obecność jej nasycała ciepłem i przytulną miękkością twarde kanty codziennego bytowania. Odczuł to i ocenił, więc — kochał.

Owa pierwsza niedzielna wycieczka we dwoje przecięła gordyjski węzeł wszelakich wątpliwości. Dotychczas pysznił się, że nie oparła mu się żadna kobieta, więc wstydził się, że ona pierwsza, cudna i nieprzystępna, stawiła mu się tak stanowczo. Zaręczył się, aby ją zdobyć, była to prosta i łatwa droga, której nie przebaczał sobie przed konfesjonałem męskich rozrachunków, ale na tle jaskrawej, młodej zieleni i słonecznych blasków wiosny, tej pierwszej wycieczki, przebaczył sobie i jej wszystko.

Podarowała mu zresztą prawo... pocałunków, nic więcej — a jednak wracali razem syci i szczęśliwi, gładkim gościńcem, gorejącym w czerwonej miedzi zachodu. Czuł jej małe serce, trzepoczące obok ramienia, stroił się w królewskie szaty ułudy i orlim wzrokiem sięgał w przyszłość w równym stukocie motoru. Doprawdy, w ciągu tej niedzieli jedynie był rzetelnie szczęśliwy.

*

Wzięła go na lep swego uroku i niewinnej nieprzystępności.

Wiodła go gościńcem szczęścia, którego niema na planach i mapach, który powstaje dla zakochanych; każdy raz w życiu kroczy po tej drodze, a jeśli jej nie przebył za życia, jest wiecznym tułaczem, chociażby śmierć przecięła wątek życiowej wędrówki.

Chyba dlatego została jego żoną, obiecywała mu rozkosz, której wciąż pragnął i której nigdy nie był syty. Od dnia ślubu czekała drżąca na jego skinienie, zawieszona na ustach i oczach męża. Była zbyt jego, zawsze jego, i tylko jego, aby mógł mieć jakikolwiek powód do skargi — ale nie miał żadnego. Hela została wczepiona, jak nowe ogniwo w łańcuch powodzenia i szczęścia, które się stało jego udziałem.

Poprostu Słuckiemu wszystko się udawało, życie układało się przeraźliwie zgodnie i składnie, dlatego właśnie... zaczął się nudzić.

*

Któregoś szarego poranku stanęła między nimi pustka, której nie wyparły ani dni pracy, ani wypełniły noce miłości. Tłoczyła ich codzienność i łatwość ich życia. Nie mieli jeszcze sił i odwagi, aby się odwrócić od siebie, nie mieli czem przysypać szczeliny, na dnie której czaiła się rozciągła, lepka nuda. Uciekali od jej chwytliwych macek między ludzi, szukając w nich radości, której nie znajdowali już we własnych sercach.

— Czyżbyśmy nie byli dla siebie — zapytywał w minuty zadumy przy biurku. — Czy jestem może złym mężem? A może Hela? Nie! nie! Poprostu, życie zbyt łatwo, zbyt płynnie przesuwało się obok, zbyt wąski mieli świat zainteresowań, jego życie należało do cudownego mydła „Plum", a ona należała do niego.

Zdawało się, że wie już wszystko o swojem mydle i wszystko o swojej żonie, pozatem najbliższe otoczenie znał zbyt dobrze, aby szukać w niem czegokolwiek niepoznanego jeszcze — chyba gdzieś daleko, w innym kraju, za granicą. Chwycił się tej myśli z manjackim uporem, — tak, wyjazd mógł wiele zmienić, bardzo wiele. Zagadnął w tej sprawie żonę.

— Heluś, pojedziemy tej wiosny w świat, do Włoch, do słońca, jak myślisz?

Dawno zastygły uśmiech rozjaśnił jej buzię przybladłą, podchwyciła z radością propozycję męża:

— Pojedziemy, Tadziu! Pojedziemy!

*

Ciemny granat nieba. Żółta, paląca tarcza słońca. Szafirowy śpiew fali morskiej, prześwietlonej zieloną poświatą księżyca, rozgadani ludzie, zapachy czosnku, długie zwoje makaronów, a nadewszystko figury, obrazy, świętości i sztuka, spływały na nich, niby manna niebieska, wypełniając nieznaną radością rzeczy.

Z oczami, prześwietlonemi czarem widzianego, zasypiali z wrażeniem wskrzeszonego szczęścia, które przecież było szczęściem rzeczy, a nie ich własnością.

*

Wracali z nadzieją, śnili nowy sen radości we własnem mieście i we własnym domu. Lecz na progu mieszkania czatowała nuda, bardziej przepastna, niż przedtem, a pokoje wypełniła pustka, kładąca cień na blask oczu i uśmiech ust kobiety.

Życie we dwoje stawało się nieznośnym ciężarem, przyzwyczajenie karlało i w bólu rodziło niechęć, — matkę nienawiści. Poczęły ich drażnić czyny i słowa wzajemne. Obawiać się więc poczęli myśli własnych i własnych cierpkich spojrzeń. Uciekał do biura, do mydła, a ona zamykała się w sypialni, aby opłakiwać swą miłość. Wreszcie znalazła w sobie potrzebną odwagę i wybuchnęła gwałtownie:

— Dosyć, — wołała — dosyć, Tadziku, nie zniosę tego, rozejdźmy się w przyjaźni i zgodzie! Życie nasze jest czyśćcem, a stanie się piekłem, jeśli opóźnimy decyzję.

Przeszedł w milczeniu od ściany do ściany i nie patrząc na nią, odrzucił:

— Dobrze, Heluś...

Wziął kapelusz. Po drodze do biura pojął, że mydło „Plum" zupełnie go nie obchodzi, czuł nową, nieznaną gorycz w ustach, stanął we drzwiach knajpy. Upił się po raz pierwszy w życiu.

*

Rozwód. Mówili o nim spokojnie, jak o czemś zwykłem i znanem. Uzyskać dyspensę, uregulować prawnie i tyle, tak bardzo mało, tak mało.

Stało się. Odprowadził ją na pociąg, wracała na wieś do rodziców. Ucałował małą, wypieszczoną dłoń, o długich, słodkich palcach.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrów!

Mimowoli szedł w ślad za malejącym kwadratem wagonu. Pojechała.

W domu czekała cisza i spokój, w sypialni woń nieuchwytna jej perfum, jej rzeczy, jej ciała.

Sunął poważnie korowód dni. Trzaskały polana na kominku.

Przebiegł rok, za nim drugi i trzeci. Życie zamknęło się w mydłach, reklamie i pieniądzach.

*

Długo przyglądał się wąskiej kopercie, zanim ją przedarł drżącemi palcami.

„Przyjedź, Tadziu, — pisała — na ślub mój z Adamem. Znasz go. Razem słuchaliśmy jego muzyki. Wrócił z Ameryki i prosił rodziców o moją rękę. Czekamy. Hela".

Opuścił list na kolana... Z Adamem?... Przypomniał sobie bladą, piękną twarz skrzypka... Słuchali jego muzyki — pamiętał, skrzypce płakały na wielkiej estradzie, jej włosy muskały mu usta. Było to w pierwszych dniach po ślubie, w pierwszych dniach... Serce Słuckiego zadrżało żałośnie.

Był słaby, bardzo słaby, nie mógł odmówić.

*

Powitała go, jak starego, dawno niewidzianego przyjaciela. Ogorzała wiejska twarz, taka blizka, a taka już daleka, śmiała mu się i wdzięczyła. Z pod kanarkowego beretu wymykały się nieposłuszne kędziory i spadały na szafirowy sweterek. Żółte auto pędziło do dworu, tylko Adam cichy i smutny, jak zawsze, siadł między nimi.

Pędzili szeroką aleją lipową, aleją radości Adama i Heli. Opowiadali o sobie, o ślubie, o zamiarach. Zostaną na wsi, przynajmniej z początku, tak bardzo lękali się miasta.

— Nie chciałabym wrócić tam nigdy... chyba...

— ...Gdy Adam zechce koniecznie — dodał Tadeusz.

Uśmiechnęła się zagadkowo i dziwnie.

Wieczorem Adam wziął skrzypce. Zerwał się z nich śmiech skrzydlaty i wionął w poszum drzew, a za nim spłynął płacz z szerokiej, wielkiej estrady.

Tadeusz i Hela siedzieli obok siebie, na wąskiej, wiejskiej kanapce. Skrzypce Adama płakały, jej włosy muskały mu usta, a głowa cicho spoczęła na sercu, na krwawym, czerwonym, trzepocącym się ptaku. Adam płakał na skrzypcach, usta Tadeusza spoczęły na jej głowie — całował. Została. Usta piły słodycz wyzłoconych słońcem ramion, nie broniła mu ich. Adam szarpnął struny, zbiegła radosna pieśń tryumfu i wesela. Szli starym gościńcem radości, który nie miał końca..

*

I Słucki znowu nie rozumiał — dlaczego wraca do Heli...

Restauracja „pośpieszna"

(Własna korespondencja z Berlina.)

„Aschinger", „Quick", „Automat" i wiele innych, niemal na każdej ulicy Berlina posiadają swoje restauracje. W oknach zostaje ustawione to wszystko, co kupujący może nabyć wewnątrz, i gość, stojąc jeszcze na ulicy, wybiera sobie ulubione potrawy, czuje wzrastający apetyt i pośpiesznie wchodzi do środka.

Wewnątrz automaty. Poprzez szklaną szybkę widać ustawione talerzyki z butersznytami, sałatkami, zimnem mięsiwem, deserami, ciastkami, owocami — co kto woli. Należy wrzucić 10 lub 20 pfennigów, tam 30, 40 lub 50 pf., a wówczas talerzyk zjeżdża na dół i zachęcająco staje przed gościem. Gość zjada wszysko, co mu się podoba, na stojąco, poczem idzie o krok dalej i znowuż, po wsunięciu odpowiedniej monety, może nalać sobie do szklanki wody sodowej, lemoniady, oranżady, wina, piwa i t. p. Trzeba przyznać, że jedzenie w owych „automatach" jest smaczne i stosunkowo bardzo tanie (stosunkowo, bo naogół życie w Berlinie jest droższe, niż u nas). Owoce zaś są bajecznie tanie — talerzyk owoców — gruszka, brzoskwinia i gałązka winogron kosztuje 20 pfennigów.

To też „automaty" cieszą się ogromnem powodzeniem. W „automacie" człowiek czuje się panem własnej woli i chęci. Nie czyha nań co chwila pytający wzrok kelnera, nie zagłębia się niezdecydowanie w tajniki karty, nie czeka długich chwil na podanie zamówionej potrawy. Tutaj wszystko ma przed sobą. Wszystko przemawia, że tak powiem, do niego bezpośrednio. W ciągu kilku minut zdąży obejrzeć wszystko, co jest do zjedzenia, zdecydować się, wsunąć odpowiednią ilość pfenigówek, obsłużyć się, zjeść i odstawić puste talerze na właściwe miejsce.

Nic więc dziwnego, że owe instytucje noszą nazwę „schnell-restaurant". I rzeczywiście, wszystko tam odbywa się w szalonem tempie, nie wyłączając automatycznego fotografowania się, gdy w ciągu sześciu minut można za 2 marki otrzymać pół tuzina pocztówek.

Nie każdy jednak może poświęcić całe sześć minut ze swego czasu. Przypuszczam więc, że istnieje jeszcze skrócony sposób fotografji dla osób bardziej zajętych, ręczyć jednak za to nie mogę.

Faktem jest, że ludzie odwiedzający „pośpieszne restauracje", śpieszą się bardzo. Co chwila ktoś wchodzi i ktoś wychodzi. Ci, co nie są tak bardzo zajęci, wypijają jeszcze na stojąco kawę przy bufecie, a ci, co dysponują całemi dziesięcioma minutami, rozsiadają się wygodnie na wysokich stołkach baru, który mieści się po drugiej stronie sali. Tam automat został już zastąpiony człowiekiem. Ruchy jednak tego barmana są tak szybkie, zdecydowane i oszczędne, że chwilami doznaje się wrażenia, że on również jest automatem, udoskonalonym jedynie do tego stopnia, że posiada postać człowieka.

Jedna z takich schnell-restaurant, na Friedrichstrasse, obejmująca całe cztery piętra, słynie ze swoich jednomarkowych obiadów. Menu jest wydrukowane z góry na cały tydzień i gość spożywający obiad, dajmy na to, w poniedziałek może odrazu dowiedzieć się, czy obiad wtorkowy będzie mu odpowiadał, czy też ma przyjść dopiero w środę. Zresztą, każdego dnia, całkowity obiad (zupa, mięso, jarzyny, deser) zostaje umieszczony na wystawie i oglądany jest przez liczne zastępy publiczności, która przez okno ocenia go i debatuje, czy warto wejść, spróbować.

Najważniejszą jednak i najbardziej charakterystyczną rzeczą w owych restauracjach jest sposób przyjmowania.

Otóż człowiek, spożywający obiad za skromną jedną markę, nie doznaje wcale uczucia, że stał się przez to parjasem społeczeństwa, na którego zarówno kelner, jak gospodarz, spoglądają wzrokiem, pełnym pogardy, który dysponuje nieśmiałym głosem potrawy, czeka na nie długie kwadranse i wreszcie wychodzi z przeświadczeniem, że ów „klubowy" obiad stanie mu kością w gardle.

Przeciwnie, ów gość jednomarkowy doznaje wrażenia, że wszystko zostało urządzone specjalnie dla niego. Salą jest umeblowana z pewnym komfortem, jedzenie smaczne i ładnie podane, nawet papierowe serwetki zostały opatrzone w szlak, imitujący mereżkę.

Witają go, żegnają go, dziękują mu, informują, że po ukończeniu godziny obiadowej rozpocznie się natychmiast w wielkiej sali dancing, że wieczorem do wydawanej, również niezmiernie taniej kolacji, przygrywa orkiestra.

Gość czuje, że przybycie jego wprawiło w zachwyt wszystkich kelnerów, właściciela i jego rodzinę, i że jedyną ich troską jest niepewność, czy aby obiad mu dosyć smakował.

Chętnie więc postanawia radować ich częściej.

Nic więc dziwnego, że „schnell" restauracje mają szalone powodzenie, a właściciele ich dorabiają się przeważnie ogromnych majątków. A propos uprzejmości. Najbardziej wzruszył mnie fakt następujący. Poszłam do niewielkiego kina, chcąc zobaczyć granego tam „Niebieskiego Anioła" z Janningsem. Przy wychodzeniu z kina ujrzałem dwóch ludzi, właściciela i dyrektora, którzy, jeden w poczekalni, drugi na ulicy przed kinem, z rozbrajającą cierpliwością, żegnali wychodzącą publiczność.

Pomyślcie, pp. dyrektorzy kin warszawskich! Ci ludzie każdemu wychodzącemu bez wyjątku, mówili kolejno, nad wyraz uprzejmym głosem: „Guten Tag, Guten Tag". Pomyślcie tylko!

Zed.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał IV







Kilka zdjęć z typowej, berlińskiej restauracji elektrycznej.

ROMAN SOBOLEWSKI

Czarne kobiety-niewolnice

(*własna korespondencja z Gwinei*)

Młoda dziewczyna ze szczepu Malinke w dość niewybrednym stroju, którego okrasę stanowi jedwabny zawój na głowie.

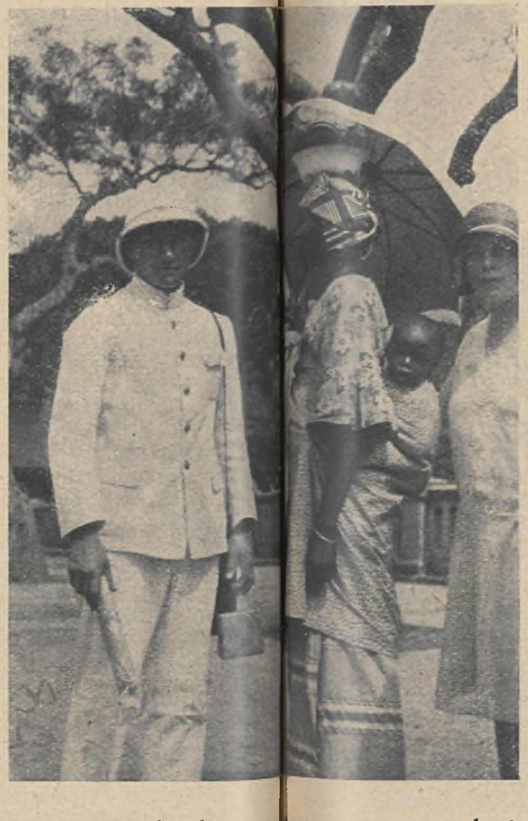


Kobieta ze szczepu Foula, mimo przemyślnego przybrania głowy bynajmniej nie jest ponętną.
(Fot. R. Sobolewski).



Naskutek bardzo rozpowszechnionego mahometanizmu — i to w formie najprymitywniejszej, dostępnej dla umysłu murzyńskiego — kobieta nie odgrywa tu żadnej roli i nikt się z nią nie liczy. Podobnie rzecz się ma i wśród fetyszystów. Każdy młody chłopak, pragnący się ożenić jak najwcześniej, by mieć ową niezbędną i cenną domową siłę roboczą, po kupieniu swej towarzyszki życia troszczy się o nią o tyle, o ile jest mu ona potrzebna i pożyteczna. Gdy żona tym warunkom nieodpowiada — wyrzuca ją bez skrupułów ze swego domu.

Wobec konieczności zebrania odpowiedniej sumy — w gotówce lub naturze — na kupno żony (tu panna młoda nie wnosi, niestety, posagu — trzeba jeszcze za nią zapłacić!), młodzież jest zmuszona do pracy, w celu zebrania potrzebnych środków. Zdarza się, że narzeczony wpłaca ratami umówioną należność. Jedna „narzeczona" bywa zazwyczaj jego faktyczną żoną, od samego początku. Gdy charaktery (vide-pracowitość kobiety) się nie zgadzają, niedoszły małżonek wycofuje się, tracąc wpłaconą już sumę. Gdy zaś tranzakcja, ku zadowoleniu obu stron, została ostatecznie dokonana, młoda oblubienica winna wynagrodzić swą pracą wysiłek, jaki poniósł mężczyzna, nabywając ją.



Czarna arystokratka powr... targu, niosąc na głowie miskę z zakupionym prow..., a na plecach swego benj...
(Fot. W. Antoszewicz).

Po hucznem koniomalo,[1]) połączonem z oprowadzaniem panny młodej po wsi wśród monotonnych śpiewów, po ożywionem tam-tam, trwającem przez całą noc — młoda kobieta rozpoczyna swe ciężkie życie.

Wobec jaknajbardziej pierwotnych i najzupełniej nieskomplikowanych uczuć duchowych u czarnych, stojących zazwyczaj na niezwykle niskim poziomie rozwoju — pojęcia miłości, przywiązania lub wdzięczności nie istnieją. Charakterystycznem jest, że wyraz „miłość" — w pojęciu idealnem, oczywiście — nie ma swego odpowiednika w językach malinke i sousou, używanych na wielkim obszarze kraju. Zdarzają się wypadki jakby pewnego przywiązania do żony, rodziny — lecz zwykle ma to podłoże materjalne.

Jeden z mych pracowników, Sidiki — murzyn z plemienia Malinke, posiadający młodą i ładną żonę, stwierdził przypadkowo, że zaleca się do niej, nie bez powodzenia zresztą, atletycznie zbudowany strzelec armji kolonjalnej, Senegalczyk. Sidiki wykazał ku memu zdziwieniu szczere oburzenie i przejęcie się całą sprawą. Oparła się ona o miejscowego administratora, którego łagodny wyrok — dwa dni więzienia dla niefortunnego uwodziciela — do reszty dotknął mego chłopca. Zaciekawiony tym objawem zazdrości, nie spotykanym u czarnych, po długiej rozmowie z nim doszedłem do zgoła nieoczekiwanych wyników.

[1]) Ślub, weselisko.

Prządka z plemienia Mamon. Zajęcie to jest doprawdy odpoczynkiem wobec ciężkiej pracy, na jaką są skazane czarne kobiety.



Czarne kobiety (czyż tylko czarne?) szaleją wprost za klejnotami i nie rozstają się z niemi nawet przy pracy.
(Fot. R. Sobolewski).



Ospałe i gnuśne życie przeciętnej wsi murzyńskiej, której ludność męska bez różnicy wieku spędza najczęściej całe dnie w zupełnej bezczynności, ożywiona jest jedynie pracą czarnych ich żon i córek. Murzyn nie lubi pracy; zabiera się do niej niechętnie nawet wtedy, gdy mu głód zaczyna dokuczać. Zwykle pozostawia kłopotanie się o życie codzienne swej żonie, lub gdy jest zamożniejszy — swej rodzinie, składającej się z paru małżonek oraz licznych dzieci.

Niektórzy tylko, o usposobieniu bardziej energicznem i przedsiębiorczem opuszczają swe wioski, udając się do większych osiedli ludzkich — do miast i osad. Tam zajmują się niekiedy rodzajem handlu domokrążnego, pracują jako rzemieślnicy, — czasem wreszcie udają się w poszukiwaniu pracy na plantacje europejczyków lub służą w charakterze służby domowej.

Ideałem i celem pragnień każdego krajowca jest stanie się z czasem tak zwanym marabout, t. j. rodzajem napół-duchownego, napół „mędrca - cudotwórcy". Wtedy może on spokojnie pędzić swe dnie, niezajmując się niczem, zadawalniając się tylko pogawędkami z sąsiadami, udzielaniem im swych cennych rad, — oraz cieszyć się mniejszym, lub większym szacunkiem swego otoczenia. Sława niektórych maraboutów rozchodzi się daleko i są oni przedmiotem powszechnego uwielbiania, a nawet czci.

Gdy zwiedza się osiedla murzyńskie odrazu uderza, że pracują tu wyłącznie kobiety. Na czysto utrzymanych dziedzińcach, przed chatami lub pod okapami wielkich trzcinowych dachów, zajęte są tłuczeniem ziarna w drewnianych stępach; głuchy łoskot podobnych do maczug pałek, któremi posługują się przy tej pracy, rozchodzi się daleko poza wieś. Na niewielkich uprawnych polkach zastępy kobiet i starszych dzieci dłubią uporczywie pierwotnemi motykami lub zwykłemi coupe-coupe kamienistą ziemię, przeznaczoną pod uprawę ryżu, fonio i kukurydzy — tego podstawowego i jedynego pożywienia ludności. W poblizkim strumieniu młode dziewczyny piorą barwne szmaty, stanowiące ubiór kobiet i mężczyzn. W tym samym czasie, cała prawie ludność męska, zgromadzona w cieniu wielkiego baobaba lub potężnego serowca, spędza godziny na ożywionej, nigdy się nie kończącej, krzykliwej gadaninie. Niekiedy tylko paru murzynów ospale pracuje przy budowie chaty, lepiąc gliniane ściany i wiążąc wysoki, stożkowaty dach.

W miastach, na placach targowych, kobiety sprzedają kury, ryż, owoce oraz inne produkty; rzadko spotyka się kramik, przy którym rezydowałby murzyn.



Im dalej wgłąb kontynentu — tem gorzej. Chociaż i te „czarnogłowy" mają ponoć swoisty pow...as, białogłowych budzić mogą zainteresowanie czysto antropologiczne. *(Fot. „Kolos").*

Na konkretne pytanie, o co mu głównie chodziło w tej sprawie — odpowiedział szczerze, że strzelec postąpił sobie jak prawdziwy „salaud", gdyż zamiast porozumieć się z nim w sprawie ekwiwalentu pieniężnego za poniesione przezeń straty „moralne" — starał się uciec, i to tak pośpiesznie, że nawet potrącił śpiące w kącie chaty dziecko!

Zresztą cnota kobieca i wierność małżeńska nie są tu cenione i nie mają dla czarnych żadnego znaczenia. Wśród murzynów wszystkich prawie szczepów, zamieszkujących Gwineję, spotyka się na każdym niemal kroku zamiłowanie do zajmowania się stręczycielstwem swych żon i córek. Młode dziewczęta, które były poprzednio mousso — czarnemi żonami przebywających tu europejczyków, są bardzo chętnie pojmowane przez murzynów za żony. Kierują się oni z pewnością wyrachowaniem, (ze względu na posiadane przez nie bounia,[2]) oraz wychodzą zapewne z założenia, że „jeżeli ona była wybrana przez białego — to widać musi być coś warta!"

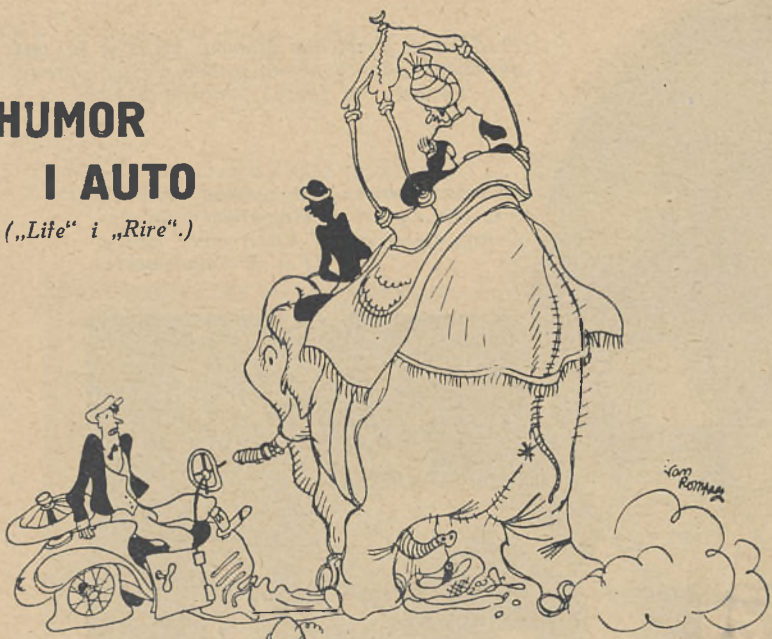
Prawo francuskie otacza w zasadzie opieką dzieci, pochodzące z tych quasi-małżeństw mieszanych: europejczyk jest obowiązany łożyć na ich wychowanie oraz zapewnić im niższe, początkowe wykształcenie. Istnieją nawet ochronki dla mulociąt, pozostające pod opieką Białych Sióstr lub misjonarzy katolickich. Z pośród dzieci rekrutuje się gros niższych urzędników kolonjalnych, posiadających zazwyczaj wszystkie ujemne cechy charakteru i usposobienia murzyńskiego, pomnożone przez wady białych.

Smutny jest naogół los dziewcząt i kobiet murzyńskich, pozbawionych w dzieciństwie wszelkich pieszczot rodzicielskich, a później zmuszonych do ciężkiej pracy za siebie i za mężczyznę, — pracy nie znajdującej u nikogo uznania, nie ocenianej i nie wynagrodzanej uczuciem wdzięczności.

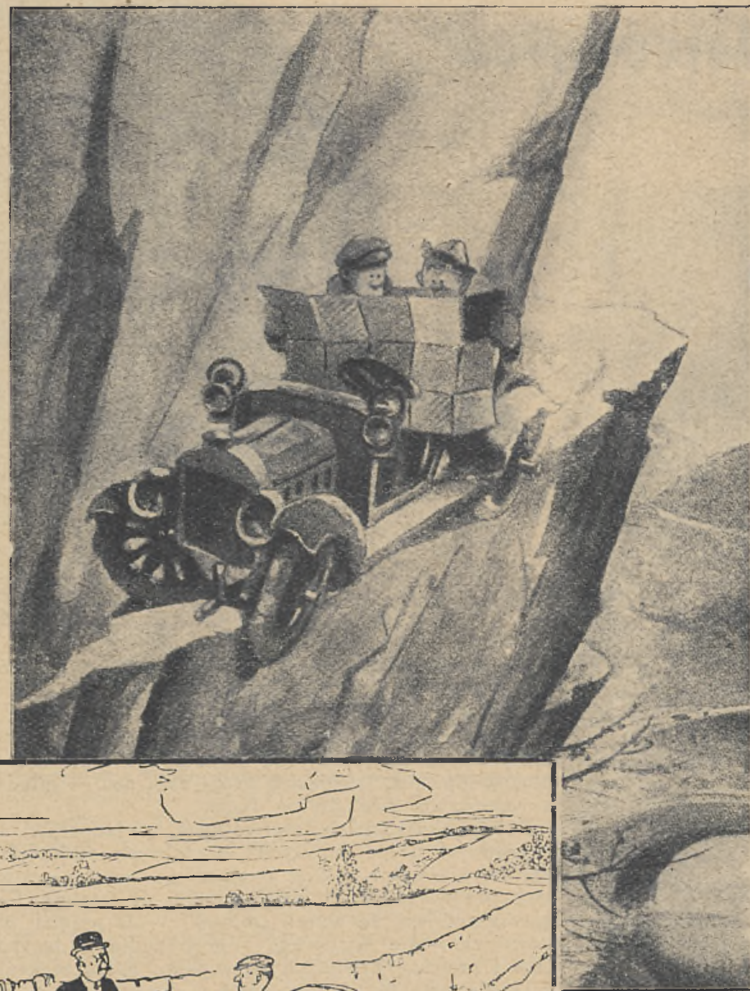
[2]) Podarunki.

HUMOR I AUTO

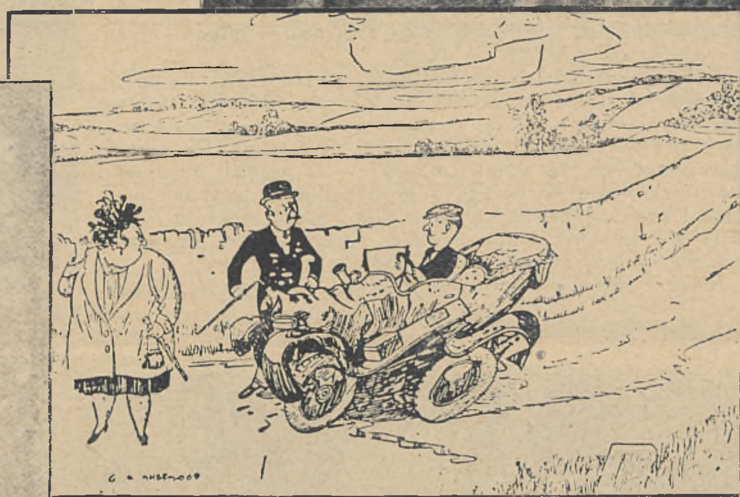
(„Lite" i „Rire".)



— *Pan ma pretensję — a przecież dałem ostrzeżenie trąbą...*



— *Czego tam szukasz na mapie?*
— *Widzę tymczasem, że stoi jak wół: „drogi niema"...*



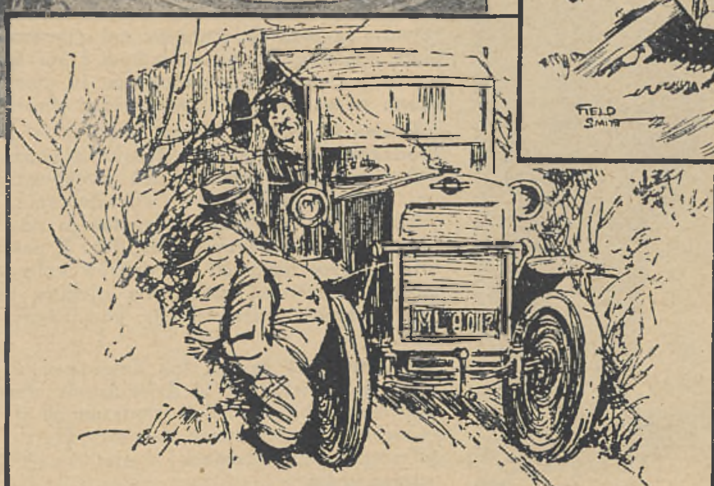
— *Mógłby pan przynajmniej przeprosić moją żonę, kiedy mijasz swoim zakichanym prymusem...*



— *Słuchaj Anny, czy woda jest ciepła?...*



— *No, a teraz, jaki mi kupisz wóz?...*



— *Hej, przyjacielu, wciągnij trochę brzuch, to wyminę!...*

B. HERMELIN.

Tragiczna wizja na wesoło

Halo, halo! Radjo międzynarodowe! Londyn, Paryż, Buenos Aires, Saigon, Reykijawik...

Brzęczą odbiorniki...

Nieznana stacja nadaje tajemniczy komunikat, zwołuje wielki kongres międzynarodowy, mający ustalić termin końca świata

Nieznany speaker mówi:

Czas skończyć z tą zgnilizną. Niemoralność stała się moralnością naszego wieku. Oszustwa i nadużycia — to chleb codzienny i strawa duchowa.

Fale radjowe przecinają ze świstem powietrze we wszystkich kierunkach.

*

Góra Synaj! Przed wiekami, przed tysiącami lat powstawała tu wielka moralność. Ludzkość rodziła się do życia. Dziś Synaj ma być grobem niemoralności, u stóp świętej góry złożone zostaną zwłoki praprawnuczki(w którem to już pokoleniu?) nakazów zrodzonych przez genjusza.

W ustalonym terminie ma rozpocząć obrady wielki kongres międzynarodowy. Wszystkie rasy i narodowości przysłały swych przedstawicieli. Specjalna policja sprawdza paszporty zagraniczne (ulgowe) i pełnomocnictwa

*

Rezolucja brzmiała:

Zważywszy, że:

1) ludzkość zamiast postępować naprzód — cofa się;

2) grzęźniemy coraz bardziej w bagnie przyjemnej rozkoszy;

3) idea zbratania narodów rozbija się z powodów czysto egoistycznych i seksualnych.

Zebrani na kongresie międzynarodowym delegaci bez różnicy maści i płci postanawiają ustalić termin końca świata na najbliższą niedzielę. Wszystkie fabryki broni palnej zarówno prywatne, jak i państwowe dostarczą bezpłatnie narzędzi śmiercionośnych celem ułatwienia generalnego samobójstwa.

Ostatnie słowa rezolucji ściągnięte były od Anatola France'a.

— Nie boimy się śmierci
— my jesteśmy... jej niema
— ona jest... nas niema.

*

Niedziela. Uśmiechnięte słońce łachocze radosnemi promieniami ziemię, kokietując Wezjuwjusza i Fudżijamę.

Zbliża się katastrofalna chwila.

Gorączkowe przygotowania są na ukończeniu.

Jeszcze godzina, pół, kwadrans, minuta...

Potężny huk wstrząsnął ziemią. Zdawało się, że skorupa ziemska pęka i wszystko, co żywe i martwe zapada się w głęboką czeluść...

*

Zamarło wszystko!

Cisza i martwa pustka opanowały świat.

Tylko zegary monotonnie powtarzają swoje niezmienne tik - tak. Godzina 12.15... 12.30... a potem stary kurant...

To pierwsza popołudniu.

W głuchej ciszy słychać szmer, potęgujący się z każdą chwilą. Otwierają się okna, w których ukazują się ludzkie głowy...

Nikt się nie zabił — wszyscy czekali.

Każdy chciał zobaczyć, jak wygląda koniec świata.

TURNIEJ „7 DNI"



GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Djabełek o angielskim uroku, ognisty płomyk taneczny, promienna iskierka radości życia, upojny czas tanecznego rozsłonecznienia, a przytem słodycz iście „ananasowa" — oto słaby tylko odblask Igi Korczyńskiej, której powab słowami opisać się nie da.

Dr. Marjan Kownacki.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.

	a	b	c	d	e	f
6						
5		✱		✱		✱
4						
3						✱
2				✱	✱	
1						

Wyrazy pionowe:

a6 Broń ręczna.
c6 Strona monety.
e6 Tłuszcz wieloryba.
b4 Zwierzę morskie północne (wspak).
d4 Zaimek wskaz. (l. mn.).
f2 Zaimek osobowy.

Wyrazy poziome:

a6 Niepowetowana zguba, szkoda.
a4 Wielki uczony.
a3 Niewysoka (dawna pisownia—wspak).
a2 Warsztat okrętowy.
a1 Utrata pamięci.

Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązania do dn. 22 października b. r.

ROZWIĄZANIA.
LOGOGRYF. Z N-RU 38.

W	Ł	O	C	Ł	A	W	E	**K**
K	**A**	Z	I	M	I	E	**R**	Z
K	O	**R**	N	I	S	**Z**	O	N
P	O	S	**T**	A	**N**	O	W	I
J	A	S	T	**A**	R	N	I	A
W	Y	K	**R**	O	**J**	O	N	Y
A	L	**U**	W	J	A	**L**	N	Y
C	**Z**	A	S	O	W	N	**I**	K
B	R	O	N	I	S	Ł	A	**W**

Krzna, Bzura, Warta, Wilja.

KRZYŻÓWKA MAGICZNA Z N-RU 39-GO.

	A	B	C	D	E	F	G	H	I
1	A	D	A				P	U	D
2	D	✱	N	I	S	Z	A	✱	N
3	A	N	I	✱	E	✱	U	F	A
4		I	✱	A	R	A	✱	A	
5		S	E	R	A	P	I	S	
6		Z	✱	A	P	O	✱	K	
7	P	A	U	✱	I	✱	M	A	G
8	U	✱	F	A	S	K	A	✱	I
9	D	N	A				G	I	G

Nad mogiłą artysty

W dniu 25 września zmarł w Otwocku jeden z najwybitniejszych przedstawicieli sztuki polskiej — artysta rzeźbiarz Jan Antoni Biernacki. Urodzony 27 stycznia 1880 r., zgasł w pełni rozwoju swego niezwykłego talentu, i w pełni pracy, której ilość i wielostronność zakrojona była na nadludzką niemal miarę.

Dziwnie bujnym a żywotnym talentem obdarzyła natura tego artystę. Zaledwie ukończywszy swe studja, zjawia się w Warszawie jako rzeźbiarz już świadomy swej drogi, panujący nad środkami technicznemi tej trudnej sztuki, a nieustannie dążący do pogłębienia i rozwoju swej twórczości. Wczesne jego prace traktowane jeszcze nawskoś realistycznie, brawurowe w technice, zdumiewają sentymentem i głębią wyrazu. Do tego okresu należy między innemi świetny bronz „Głowa robotnika", obecnie stanowiący ozdobę Państwowych Zbiorów Sztuki.

Ta głębia i siła wyrazu oraz niezwykłe poczucie monumentalności występuje ze szczególną wyrazistością w późniejszych portretach Jana Biernackiego. Daje on w nich formę zwartą niemal architektoniczną, a jednocześnie przedziwnie odczuty charakter indywidualny postaci portretowanej, stwarzając całość wierną nietylko pod względem fizycznym ale i psychicznym, czy to będzie skoncentrowana w zadumie głowa Dra Benniego, czy patrjarchalna postać Bolesława Limanowskiego, czy wreszcie potężne popiersie margrabiego Aleksandra Wielopolskiego o twarzy ponurej, pełnej zaciętości i dumy.

Zachowując swe cechy indywidualne, Biernacki nie pozostał obcy wielkim prądom ożywiającym sztukę współczesną; w latach ostatnich w pracowni jego powstawały liczne dzieła, stanowiące znakomity przykład związania rzeźby z architekturą. Do tej serji należy np. Mauzoleum Bersonów w Boglewicach pod Grójcem, świetnie skomponowana fontanna, kapliczka Marabut i wiele innych.

Na stanowisku konserwatora rzeźb w Pałacach Państwowych i kustosza Państwowych Zbiorów Sztuki uratował od zagłady i przywrócił do dawnej świetności mnóstwo rzeźb pierwszorzędnej wartości dla naszej kultury, że wspomnimy choćby pomnik Jana III w Łazienkach, posągi przed pałacem i w Pałacu Łazienkowskim, w Zamku Królewskim, na pałacu Rady Ministrów i t. d. i t. d.



Ś. p. Jan Biernacki.

Przy współudziale Biernackiego rozpoczęto odnawianie pałacu wilanowskiego i jego pracy zawdzięczać należy naprawę rzeźb całego prawego skrzydła.

Powołany, z chwilą otwarcia Politechniki polskiej, do wykładów rzeźby, prowadził je ś. p. Jan Biernacki do roku 1927.

W pracy społecznej zawsze chętnie ofiarowywał swą wiedzę i doświadczenie, jednając wszystkich swą życzliwością, żywością umysłu, bystrością obserwacji, pogodnem usposobieniem i wdziękiem obejścia. Żadne poczynanie w sztuce polskiej nie było mu obce, brał też żywy udział w pracach zbiorowych; w latach ostatnich dużo czasu poświęcał sprawom Miejskiej Komisji Artystycznej i Wydziałowi Konserwatorskiemu T-wa Opieki nad Zabytkami Przeszłości.

Ogarniając myślą ten ogrom pracy dla kultury polskiej, składam hołd pamięci przedwcześnie zgasłego znakomitego artysty.

Wł. Woydyno.

PIERRE MAC ORLAN. 3)



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie z poprzedniego numeru.

W małej kawiarence paryskiej, noszącej nazwę „Bal motyli", spotkało się późnym wieczorem parę osób. Wszystkie zdają się czekać na kogoś. Nastrój — tajemniczy ,jak to bywa w podobnych lokalach, na przedmieściach stolicy.

— I ja miałem telefon dziś w mojej redakcji. Sądziłem, że żądano ode mnie jakichś informacyj — mówił Flahaut. — Usłyszałem głos kobiecy.

— Tak samo, jak ja — powiedział Ludwik Fraipont, którego dobry humor gasł powoli. — Zatelefonowano do mnie do małej knajpki, dokąd przychodzę zwykle na kieliszek. Odpowiedziałem, że będę. Oczywiście, przychodziły mi różne myśli do głowy. Teraz widzę, że osóbka, która do mnie dzwoniła, miała określony cel. Sądzę, że nie robiła tego li tylko dla przyjemności. Jest w tem jakaś głębsza przyczyna.

Wszyscy goście „Balu Motyli" zerwali się z miejsc; gestykulowali, uderzali się w piersi na dowód zrozumiałego zdenerwowania. Saint-Thierry zbliżył się do Marji - Chantal Fosseuse. Spoglądał na nią łagodnie, mrużąc oczy, jak to czynią krótkowidze, gdy nie mają szkieł. Marja - Chantal Fosseuse pochyliła głowę, zagryzając wargi. Była milutka, to znaczy miała trochę zniszczoną twarzyczkę blondynki, o delikatnej gładkiej cerze. Nie wyglądała na bogatą. Padające poprzez szyby światło ulicy oprawiało w złotą aureolę jej dziecinny prawie profil. Wyglądała na dużą dziewczynkę. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat. Właściwie trudno było określić jej wiek. Czarowała młodością, która nadawała jej twarzy dziwną prostotę. Była bardzo zgrabna. Przedstawiała nieźle typ młodej Paryżanki, pochodzącej z ludu i przystosowanej dobrze do swojej epoki.

Odpowiedziała uśmiechem na spojrzenie Saint-Thierry'ego. W tej chwili czuła potrzebę poznania kogoś bliżej z pośród tych nieznajomych gadułów, podnieconych dziwną przygodą. Instynktownie zbliżyła się do Saint-Thierry'ego, ponieważ był młody i lepiej ubrany, niż tamci. Pochlebiało jej również, że zwrócił uwagę na jej miłą twarzyczkę, odsuwając na drugi plan okoliczności, które sprowadziły ich do knajpki w szesnastym okręgu.

— Bardzo głupio daliśmy się nabrać.

— Nic strasznego, proszę pani. Jestem poniekąd zdania pana Fraipont. Być może, że jest jakaś głębsza przyczyna tego żartu. Zdaje mi się, że czas już obudzić gospodarza i spytać go, co o tem wszystkiem myśli.

— Trzeba było od tego zacząć już pół godziny temu — zauważył Eligjusz Mutter.

— Kryje się w tem coś poważniejszego, czuję, że nie my będziemy „ofiarami" — oświadczył Flahaut. — Tymczasem trzeba obudzić tego poczciwego Noel-le-Caid'a. Co za śliczne nazwisko!

— To posiedzenie zaczyna za długo trwać — wtrącił Eligjusz Mutter. — Kelner, proszę iść do gospodarza i poprosić o wytłumaczenie. Może będzie mógł nam coś powiedzieć. Już jest po dwunastej. Proszę go spytać, czy może nam dać jakieś wyjaśnienia. W przeciwnym razie będziemy musieli go przeprosić za przerwanie snu i pójść każdy w swoją stronę.

— Cóż robić? Bardzo mi przykro budzić gospodarza... Naturalnie... Jeszcze gotów mnie wylać. Ale z drugiej strony rozumiem państwa. Podług mnie, to tylko żart, złośliwy żart, jakich nie brak. Na miejscu państwa, zapłaciłbym za to, coście wypili...

— Przepraszam, jeśli to mistyfikacja, wniosę skargę przeciw nieznajomemu.

— Pan Mutter ma rację — rzekł Saint-Thierry. — Niech pan spyta właściciela „Balu Motyli", co wie o tej głupiej historji, która może wcale nie jest taka prosta, jak przypuszczamy w naszem zdenerwowaniu.

— Dobrze, myję ręce i idę na górę — zgodził się kelner.

Wydawał się bardzo zmieszany misją, którą mu powierzono. Flahaut to zauważył.

— Mam wrażenie — rzekł, śmiejąc się, — że pan Noel-leCaid trzyma ich tu krótko.

— Och, on nie jest wcale zły — mówił kelner — ale sen, to jego słaba strona.

Słychać było, jak wchodził powolutku na górę. Jego stopy zaledwie się mieściły na wąskich stopniach.

Kiedy zastukał do drzwi, z początku bardzo delikatnie, wszyscy podnieśli głowy i nasłuchiwali z zapartym oddechem. Kelner zapukał znów raz, dwa razy — żadnej odpowiedzi. Cisza, słychać tylko astmatyczny oddech Muttera. Znów uderzenia pięścią w drzwi i głos kelnera:

— Panie Noel, panie Noel, już po dwunastej!

Słuchano, czekano na odpowiedź, której nie było.

— Panie Noel, czy pan jest chory? — pytał kelner.

A ponieważ w dalszym ciągu nikt nie odpowiadał, zbiegł ze schodów prosto w objęcia pana Flahaut.

— Nie odpowiada, to dziwne. Po raz pierwszy — jęczał kelner — znajduję się w podobnej sytuacji. Pomyślcie, że stary ma słuch jak zając. Psiakrew!

— Pójdę z panem do niego — zadecydował Flahaut. — Trzeba zobaczyć.

Weszli na górę i stanęli przed drzwiami pokoju Noel-le-Caid'a. Flahaut pochylił się, zajrzał przez dziurkę od klucza.

— Nic nie widać. Ciemno, rolety zaciągnięte.

Zastukał energicznie. Nikt nie odpowiadał.

— Drzwi zamknięte na klucz. Jakiś dziwny zapach, coś ciężkiego i ciepłego... Znam to, mój stary... Ruszaj prędko i przyprowadź nam pierwszego spotkanego policjanta.

Flahaut zeszedł za nim.

— Posłałem go po policję. Drzwi zamknięte na klucz. Stary nie odpowiada i jakoś dziwnie tam pachnie.

— Jaki zapach? — spytał Mutter.

— Niech pan sam powącha.

Mutter wszedł na kilka schodków i wciągnął głęboko powietrze. Wrócił do sali z rozpromienioną twarzą.

— Przygotujcie się na coś ładnego... Poczułem ciepły zapach żywego kurczaka, ten zapach...

W tej chwili wrócił kelner w towarzystwie dwóch policjantów, którzy oparli swe rowery o ścianę domu, zachowując przy tem tysiąc ostrożności.

III.

— Czy on zawsze tak mocno śpi? — spytał policjant, stukając energicznie do drzwi.

— Nie? To trzeba otworzyć.

— Ma pan jakie obcęgi? Powinien pan je mieć przy waszej klienteli... Zwykłe obcęgi wystarczą...

Kelner zeszedł nadół z policjantem. Wpadli na wszystkich gości, którzy tłoczyli się przy schodach.

— Co to za ludzie? — spytał policjant.

— Nie znam ich — odparł kelner. — Wi-

dzę ich po raz pierwszy. Jakiś nieznajomy naznaczył im tutaj spotkanie na dziś rano. Czekają już od dwóch godzin, ale nikt nie przyszedł.

— Dobrze.

Policjant zwrócił się do Saint-Thierry'ego:

— Mam wrażenie, proszę pana, że stało się tu coś poważnego dziś w nocy lub wczesnym rankiem. Proszę więc zaczekać, dopóki nie wejdziemy do pokoju le-Caid'a. Prawdopodobnie będą państwo musieli służyć nam za świadków.

Policjant wsunął obcęgi pod drzwi. Zamek opierał się jeszcze. Jednem szarpnięciem wyważył drzwi i wszedł do pokoju.

Uderzył go mdły zapach krwi. Znalazł wyłącznik i zapalił światło. Ujrzał teren zbrodni. Na poduszce olbrzymia krwawa plama; na trzcinowem krześle miska, pełna krwi. Tapety przy łóżku też zapryskane krwią. W pokoju unosił się duszny zapach, właściwy rzeźni. Między ścianą a łóżkiem sterczała sztywna noga starca.

— Tutaj! — zawołał policjant. — Wcisnęli go między ścianę i łóżko. Trzeba go podnieść, aby skonstatować stan rzeczy. Możesz zadzwonić na posterunek — rzekł, zwracając się do kolegi.

— Będę prędzej na rowerze.

Kelner, zupełnie bezradny, i pięcioro gości, patrzyli na pokój, w którym gęsta czerwień krwi lśniała w świetle elektrycznem, zmieszanem z dziennem. Eligjusz Mutter, zgarbiony, oddychał głośno, wydając nieprzyjemny świst, podobny do syku schwytanej żmii.

— Paskudnie! — zauważył policjant, wycierając chustką spocone czoło.

Na podłogę ściekały krople krwi, którą przesiąknięty był materac.

Widzowie, przejęci wstrętem i strachem, liczyli sączące się czerwone krople.

— Proszę wyjść — rozkazał policjant. — Zaczekamy na komisarza, który szybko państwa wybada. Czy nikt nie znał ofiary?

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Saint-Thierry zbliżył się do Marji-Chantal Fosseuse.

— Niech pani usiądzie, ten widok panią wstrząsnął. Dam pani coś wzmacniającego.

Wszedł za bufet i z pośród pięciu butelek wybrał jedną, zawierającą koniak. Napełnił kieliszek i podał Marji-Chantal, która umoczyła tylko usta.

— Dziękuję panu.

— Proszę nie mówić naraz — strofował policjant. — Czem się pan zajmuje?

W tej chwili przed domem zatrzymał się samochód.

Wysiadł z niego komisarz w towarzystwie swego sekretarza, urzędnika i policjanta. Pozostali policjanci ustawili się wzdłuż korytarza, poczem starali się usunąć gapiów, którzy tłoczyli się przed drzwiami „Balu Motyli". Przodownik zasalutował i, wskazując drogę nowoprzybyłym, wydał rozkaz policjantom, aby nie wypuszczali nikogo z sali.

Oględziny miejsca zbrodni trwały dwadzieścia minut. Komisarz zeszedł nadół, rozmawiając półgłosem ze swoim sekretarzem.

— Co to za ludzie? — spytał, siadając przy stole. — Trzeba ich zbadać. Zacznijmy od pana. Czem się pan zajmuje? Poco pan przyszedł tutaj dziś rano? — zwrócił się do Eligjusza Muttera.

— Panie komisarzu, jak panu wiadomo, jesteśmy ofiarami mistyfikacji. Wszystkim nam naznaczono tutaj telefonicznie, bądź też listownie, spotkanie. Oto list, który otrzymałem.

Eligjusz Mutter przeszukał kieszenie i wyjął list, który podał komisarzowi.

— Czem się pan zajmuje?

— Żyję z niewielkiej renty. Poza tem sprzedaję antyki. Mieszkam na ulicy Ravignan w 18-ym okręgu.

— Dobrze. A pani?

— Nazywam się Marja-Chantal Fosseuse. Jestem śpiewaczką. Obecnie śpiewam w „Czarnem Słońcu", artystycznym kabarecie na ulicy Pigalle. Zajmuję małe mieszkanko na bulwarze Batignolles.

— Dobrze. A pan?

— Lucjan Flahaut, dziennikarz, współpracownik „Krzyku Serca". Pisuję do innych jeszcze gazet i mieszkam w hotelu na ulicy Douai. *(D. c. n.)*

Okładkę projektował
LEON CHEJFEC

Impresje teatralne

Teatr Mały: „Wieczne pióro“, komedja w 3 aktach Władysława Fodora.

Teatr Mały z nazwy, ale wielki z repertuaru i zespołu, podjął chlubną walkę z ciężką plagą ludzkości — zazdrością — i wystawia już drugą sztukę z rzędu na ten temat. Krucjata ta jest zupełnie słuszna. Zazdrość rodzi kłamstwo, kłamstwo rodzi zbrodnię, zbrodnia jest niemoralna, a więc zazdrość jest niemoralna i dlatego przez autorów współczesnych od Crommelyncka do Fodora tak energicznie zwalczana. Już Szekspir, zresztą, wyczuł całą ohydę zazdrości, tembardziej zaś piętnują ją autorowie dzisiejsi, uważając ją słusznie za jeszcze jeden dowód słuszności atawistycznych teorji Darwina.

Z tem większą przyjemnością słucha się detonacji granatów, burzących bastjony tego „zielonookiego monstrum, co samo siebie rodzi i samo pożera“ (vide „Otello“), gdy odbywa się to przy udziale tak świetnie zgranej pary utalentowanych artystów, jak Kamińska i Grabowski, po mistrzowsku rzeźbiących djalog... Ale i dalsze pary zasługują na uznanie: pełnokrwista aktorka Jarkowska z Chmurkowskim, Macherska z bardzo obiecującym Ziembińskim, wreszcie powabna Tarnowiczówna ze zdolnym młodzieńcem Karczewskim.



Znakomity artysta Stefan Jaracz, nowy dyrektor teatru „Ateneum“, zachwycił wszystkich wspaniałą kreacją Milczka w „Zemście“ Fredry, wystawionej w nowej, wielce interesującej formie.



Współczesny Kuba — Rozpruwacz

Przyszła jesień i oto, dorocznym już zwyczajem, w Paryżu znaleziono zwłoki kobiety, zmasakrowane, pokrajane na kawałki. Jest to kolejny, piąty już wypadek podobnego morderstwa, dokonanego według jednego i tego samego planu, prawdopodobnie przez jedną i tę samą osobę. Policja przedsięwzięła wszelkie możliwe środki celem ujęcia współczesnego Kuby-Rozpruwacza, lecz wszystko bezskutecznie.

Pierwszy podobny wypadek miał miejsce w 1926 r. Wczesną jesienią jakiś myśliwy, błądząc po lasku podmiejskim znalazł poćwiartowane zwłoki ludzkie, zawinięte w arkusze papieru gazetowego. Lekarz policyjny, który przeprowadził badania, stwierdził, iż ręce, nogi i część tułowia, znalezione w lasku, należały do młodej dziewczyny. Części ciała odpiłowane były z niezwykłą precyzyjnością, przez doświadczoną widać rękę...

Cały miesiąc liczny zastęp detektywów szperał po lesie... Kto jest mordercą?... Kim była zamordowana?... Lecz czas biegł i wysiłki najzdolniejszych agentów nie potrafiły wyjaśnić straszliwej zagadki.

Pewnego dnia do policji zgłosiła się młoda kobieta Germaine Lelong, prostytutka z zawodu.

— Widziałam w gazetach fotografję palta kobiety, znalezionej w lasku pod Paryżem. Znam to palto. Należy ono do mojej koleżanki Kamilli Pigouri. Razem... „pracowałyśmy". Od dwóch miesięcy znikła nam z oczu. Ostatnio zabrał ją jakiś klijent z ulicy i więcej już nie wróciła...

Na zasadzie tego zeznania tożsamość osoby zamordowanej została stwierdzona bez wszelkich wątpliwości. Jak to się zwykle dzieje w pierwszym rzędzie aresztowano jej „opiekuna" imieniem, a właściwie przezwiskiem „Feluś", ten jednak zaprzeczył wszystkim oskarżeniom:

— Pocóż bym zabijał kobietę... więcej mam korzyści z żywej niż z umarłej... jestem sutenerem, ale nie zabójcą...

Zeznania świadków potwierdziły w zupełności alibi „Felusia". Śledztwo w sprawie zamordowanej i pokrajanej kobiety zostało umorzone...

*

Minął rok. Nad brzegiem Sekwany znaleziono głowę kobiecą, jedną rękę i część nogi... Władze bezpieczeństwa przeprowadziły setki badań: daktyloskopijnych, fotograficznych, krwi i t. p. lecz nie zdołano ustalić tożsamości nieszczęśliwej. Drugie śledztwo zostało umorzone...

*

Jesień 1928 r. Śmieciarka, wybierając odpadki z rowów na przedmieściach Paryża znajduje paczkę, z której sączy się krew. W paczce — trup kobiety pokrajany na kawałki. Sądząc ze stroju jest to dziewczyna publiczna z kategorji tych najbiedniejszych, operujących w szynkach i na ulicach podmiejskich.

W ciągu kilku dni przez prosektorjum miejskie przedefilował cały korowód młodych i starszych kobiet, koleżanek z zawodu zamordowanej.

Policjant zapytał:

— Czy znasz ją?

Dziewczyny w dzikim krzykiem odwracały się od zmasakrowanych zwłok, lecz w końcu jedna poznała:

— Marja Petit. Na prawej nodze miała tę oto bliznę. To ona.

Trzecia ofiara Kuby - Rozpruwacza została poznana. W następstwie stwierdzono, iż pewnej nocy opuściła swój stały posterunek na rogu ulicy z jakimś przygodnym przechodniem i odtąd ślad po niej zaginął aż do chwili, gdy śmieciarka znalazła w rowie krwawą paczkę... I znów śledztwo musiało być umorzone.

*

I znowu minął rok. We wrześniu 1929 r. rybacy wyłowili z Sekwany worek z częściami ciała kobiecego. Głowa, kończyny, tułów. Dokładnie przepiłowane stalową piłą. Śledztwo, poszukiwania... Marja - Luiza Bataille, prostytutka z przedmieścia Saint - Martin. Aresztowano suterena „Lulu". Dowodów winy nie znaleziono.

W gabinecie sędziego śledczego spoczęła teczka z napisem „Sprawy umorzone".

*

W końcu ub. miesiąca na Sekwanie zauważono jakąś paczkę, płynącą z biegiem rzeki. Było to w miejscowości Clichy, kilka kilometrów od Paryża, w paczce znaleziono głowę, ręce i nogi. Tułów zamordowanej kobiety zaginął. Sądząc z odnalezionych części ciała ofiara liczyła ok. 30 lat. Znak szczególny: charakterystyczna obsada zębów. Fotografja szczęki obiegła wszystkie gazety francuskie, ale nikt nie zgłosił się z informacjami.

Pięć kobiet, wszystkie prostytutki (prawdopodobnie i ta ostatnia była prostytutką) zginęły w jednakowy sposób, zamordowane przez jedną i tę samą osobę. Zabójca za każdym razem złożył swój podpis: ślad ostrej stalowej piły w mocnych i doświadczonych widać rękach. Nigdzie nie znaleziono żadnej rany od noża czy broni palnej — jedynie ślady uduszenia i trup przepiłowany na kilka części. Co roku jedno morderstwo...

Zdawałoby się, że jest rzeczą niemożliwą, aby 5 kobiet zostało zamordowanych przez jakiegoś sadystę i nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Nie udało się nawet ustalić tożsamości dwóch z pośród pięciu pomordowanych...

Jako wyjaśnienie tego może służyć fakt, iż rocznie ginie w Paryżu około 10.000 kobiet. Część z nich opuszcza swe domy dobrowolnie, uciekając od rodziców, mężów, część — w poszukiwaniu karjery gwiazd filmowych w Ameryce i t. p. Niektóre znajdą swe wymarzone szczęście, lecz przeważna większość wzbogaci nie jeden dom publiczny w Konstantynopolu, Buenos - Aires, Rio - de - Janeiro — białe niewolnice przedsiębiorczych handlarzy żywym towarem...

Jak nazywają się zaginione? Janka, Marysia, Józia... Nazwisko? Nikt nie zna jej nazwiska. Nazywano ją Józią... Śledztwo umorzone...

Wielkie miasta wydają od czasu do czasu takich straszliwych ludzi, trochę psychopatów, trochę sadystów, zwierzęta w ludzkiej skórze.

Praktyka jednak uczy, że bezkarność nigdy nie jest długotrwałą i koniec końców ludziepotwory oddają swe gardło pod nóż lub zawisają na szubienicy.

S. K.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Młodzież w osiedlach szkolnych





Jakże różne są warunki, w których wychowywana jest nasza młodzież od tych, jakie pamiętamy przed 25-ciu laty. Dowodem chociażby osiedla, które zaprowadzono już w kilku gimnazjach.

Ruch, powietrze, słońce i swoboda!

Znajdujemy się w małem państewku młodzieży, w osiedlu szkolnem w „Rejówce".

Osiedle „Rejówka", własność gimnazjum im Reya, mieści się na gruntach w folwarku Banioszka i posiada duży dom mieszkalny, (sypialnie, jadalnia, sala szkolna, infirmerja, świetlica, pokój gościnny, pokój zarządzającej, pokój wychowcy, kąpiele, umywalnie, kuchnie i t. d.).

Co tydzień inna klasa przebywa w „Rejówce" przez 5 do 7 dni, korzystając w pełni z wydostania się z murów miasta, z możności oddania się sportom i zabawie, nie przerywając jednocześnie zajęć szkolnych.

Codzień bowiem przyjeżdża na kilka godzin inny nauczyciel. W dni pogodne wykłady odbywają się na wolnem powietrzu.

Młodzież posiada własne boisko, tor saneczkowy, ślizgawkę i t. p., jednym słowem nowy eksperyment wychowawczy, okazał się przyjemnym i pożytecznym jednocześnie.





„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska". Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.